

Gorący Sierpień pod Beskidami (cd.)

STRAJKI W BEFIE I ANDRYCHOWIE

W poprzednim numerze „Solidarności Podbeskidzia”, w artykule „Gorący Sierpień pod Beskidami” pisaliśmy o robotniczych protestach, masówkach i wiecach w sierpniu 1980 roku w podbeskidzkich zakładach pracy. W tekście tym, podobnie jak i w opublikowanym w tym samym numerze kalendarium „Dni protestu”, zabrakło informacji o dwóch strajkach - w bielskiej Befie i Andrychowskiej Fabryce Maszyn. Oddajemy więc głos bezpośrednim uczestnikom tamtych wydarzeń.

O sierpniowym strajku w Bielskiej Fabryce Armatur Befa opowiada Wiesław Wróbel, wówczas frezer z oddziału narzędziowni tego zakładu z 23-letnim stażem pracy:

W połowie sierpnia 1980 roku byłem na urlopie. Miałem sporo czasu, więc nasłuchiwałem w Radio Wolna Europa wieści z Wybrzeża. Słyszałem o 21 postulatach i o poparciu z coraz to nowych zakładów i miast. Myślałem, kiedy ruszy Bielsko... Po urlopie, w czwartek 21 sierpnia, wróciłem do pracy. Zaczęłem rozmawiać z zaufanymi kolegami. Pracowałem w Befie już 23 lata, więc znałem sporo ludzi. Wiedziałem, że jakakolwiek akcja może się udać wyłącznie wtedy, gdy uzyska poparcie pracowników największych wydziałów: mechanicznego i odlewni. Szukałem znajomych, mówiłem im: „Trzeba poprzeć Gdańsk. Jak długo będziemy siedzieć cicho i obrywać po d...?”. Te rozmowy były prowadzone w konspiracji, często nawet w ubikacjach czy pod prysznicami. W końcu udało się znaleźć ludzi, zdecydowanych pomóc. To był Marian Wandyga z odlewni i Jan Radczuk, tokarz z wydziału mechanicznego.

Gdzieś na dwa dni przed planowaną akcją spisałem postulaty. Najpierw to było 21 gdańskich postulatów, a poniżej jeszcze nasze, zakładowe, dotyczące między innymi spraw płacowych, sposobu rozdziału premii, dodatków za nocne zmiany, a także kwestii socjalnych, nawet - pamiętam - zup regeneracyjnych. Poruszyłem też sprawę kiepskiej obsady stanowisk kierowniczych. Trafiali tam ludzie z nomenklatury, żadni fachowcy. Dyskusje nad tymi postulatami trwały długo. Znajomi czytali je, przychodząc w pojedynkę pod prysznic. Akceptowali to, co napisałem. To było w poniedziałek, 25 sierpnia. Zapadła decyzja, że na następny dzień ruszamy.

To był wtorek, 26 sierpnia. O 9.00 na przerwie śniadaniowej na hali wydziału mechanicznego mój kolega, Henryk Holisz z narzędziowni, puścił syrenę zakładową. Zaczęli też nadchodzić powiadomieni ludzie z odlewni. Już wcześniej ustaliliśmy, że na tym ostatnim wydziale zapewnimy utrzymanie pieców, by nie powodować gigantycznych strat. Pojawiali się też ludzie z innych oddziałów, nawet pierwsi pracownicy z biurowca. Przedstawiłem spisane postulaty, przyjęte przez załogę. Potem wybraliśmy 11-osobowy Komitet Pracowniczy, który miał prowadzić rozmowy z dyrekcją. Wtedy - gotowi - zażądaliśmy przyścia dyrektora. Ociagał się, kombinował. Chyba czekał na wytyczne lub pomoc z zewnątrz. W końcu, gdzieś po pół godziny, przyszedł w towarzystwie sekretarza POP i przewodniczącego związku zawodowego CRZZ oraz dwóch nieznanych mi osób. Zapewne byli to esbecy. W tym czasie zebrało się już około pół tysiąca ludzi. Czuliśmy ich poparcie. Dyrektor Marian Wejwoda zrozumiał, że tak łatwo się to nie skończy. Próbował nas jeszcze zmiekczyć, mówiąc o napiętych planach, o zamowieniach. Nie wytrzymałem i powiedziałem mu: „Zaprosiliśmy pana, by pan nas słuchał, a nie wygłaszał pogadanki”. Wtedy dyrektor zaprosił nas do swego gabinetu.

Początkowo próbował nas straszyć konsekwencjami i stratami, jakie może przynieść strajk. Potem zaczął prosić. Powiedział: „Panie Wieśku, przecież pan wie, że mam dyrektywy, wytyczne. Ja tu nie decyduję...”. Pamiętam też, że gdy czytałem mu naszą odezwę z poparciem dla Gdańska, zaczynającą się od słów: „My, robotnicy Bielskiej Fabryki Armatur Befa...”, dyrektor od razu mi wytknął, że dzielę załogę na robotników i resztę. Słuszna uwaga - zmieniłem początek na „My, pracownicy...”.

W tym czasie w zakładzie praktycznie nikt nie pracował. Ludzie czekali na efekty rozmów. Potem skończyła się pierwsza zmiana, więc wyszli z zakładu. Na drugiej zmianie też praktycznie nie było żadnej roboty. Ludzie zbierali się w grupki, rozmawiali. Po wyjściu od dyrektora jeden z pracowników powiedział mi, że bym się pilnował, bo już pytało o mnie jakichś dwóch nieznanych mężczyzn. Wyszedłem z zakładu chyłkiem, nie przez portiernię. Oplotkami dotarłem do domu, wziąłem córkę i do nocy siedziałem z nią u mojej mamy. Na drugi dzień w robocie zrozumiałem, że żadnej kontynuacji naszego protestu nie będzie. Majstrowie pilnowali mnie na każdym kroku, ktoś postraszył nawet dyscyplinarką.

Nie przerywając pracy zaczęliśmy zbierać podpisy pod naszymi postulatami. W tym skutecznie wsparli nas ludzie z biurowca, przede wszystkim Kazimierz Stawowczyk i Michalina Kulpa (potem, już w stanie wojennym, mszczono się na nich za to poparcie). W ciągu kilku dni

mieliśmy podpisy sześćdziesięciu procent załogi! Po podpisaniu Porozumień Sierpniowych zmieniliśmy naszą nazwę z Komitetu Pracowniczego na Tymczasową Komisję Założycielską Wolnych Niezależnych Związków Zawodowych. Nazwa „Solidarność” pojawiła się po 18 września. Jeszcze zanim zaczęliśmy oficjalne zapisy do naszych związków, to w rozmowach z dyrekcją zażądaliśmy, aby pracownikom, którzy podpisali się na listach popierających nasze działania, nie ściągano składek na stare związki zawodowe, skupione w CRZZ.

Potem do „Solidarności” zapisała się niemal cała załoga, nawet... dyrektor naczelny Wejwoda. A w tym czasie w Befie pracowało około 1600 osób! Wybory odbyły się 14 listopada 1980 roku. Zdobyłem niemal 100-procentowe poparcie i zostałem przewodniczącym Komisji Zakładowej. Moim zastępcą został Julian Pichur, a sekretarzem Michalina Kulpa.

Sierpień 1980 roku wspomina Wiesław Pyzio z Andrychowa:

W 1980 roku byłem zatrudniony w Andrychowskiej Fabryce Maszyn jako ślusarz na wydziale produkcji. Pracowałem w systemie akordowym na ślusarni, głównie na wiertarkach lub przy ręcznej obróbce części do maszyn. Byłem nowym pracownikiem, jeszcze mało znanym. W domu regularnie słuchałem Wolnej Europy. Stamtąd miałem informacje o sytuacji na świecie i Polsce.

W połowie sierpnia 1980 roku rozpoczął się strajk w Stoczni Gdańskiej. W przeciwieństwie do innych strajków, jakie wybuchały w tym czasie w Polsce, ten trwał już dłuższy czas i wciąż się rozszerzał. Czulo się, że nadchodzą ważne czasy. W pracy po 25 sierpnia dochodziły do mnie szeptane informacje o mającym się rozpocząć strajku. Mówiło się nawet, o której godzinie mamy stanąć. Gdy nadchodziła ta wyznaczona godzina, ostentacyjnie wyłączałem swoją wiertarkę i... nic. Ludzie dalej pracowali. Bardzo mnie to irytowało. Strajki ogarnęły już całe Wybrzeże. Strajkujący apelowali o strajki w innych zakładach. Zaczęła się walka robotników, a Andrychów milczał. Za którymś razem, było to chyba 27 sierpnia, gdy bez efektu minął kolejny wyznaczony termin rozpoczęcia naszego przestoju, zacząłem szukać grupy próbującej zainicjować nasz strajk. Poszedłem na ostrzałnię, chcąc naostrzyć wiertło, i zauważyłem tam grupę mężczyzn, prowadzących między sobą gorącą dyskusję. Na mój widok przegrali rozmowę. Domyśliłem się, że to jest chyba ta grupa inicjująca. Pamiętam, że byli wśród nich Stanisław Sordyl, Józef Szczur i Stanisław Stopa. Podeszedłem do nich. Niektórzy z tej grupki już mnie znali i dlatego szybko nabrali do mnie zaufania. Powiedziałem im, że moim zdaniem każdy z nas musi po kolei wyłączać wyznaczone obrabiarki, bo ludzie sami boją się tego zrobić. Inaczej nigdy nie rozpoczniemy strajku. Wyznaczyliśmy, kto jakie nawy (czyli rzędy obrabiarek) wyłączy oraz ustaliliśmy godzinę rozpoczęcia strajku. Informacja o nowym terminie strajku poszła do ludzi przekazywana jeden drugiemu.

28 sierpnia 1980 roku o umówionej godzinie - chyba była to 11.00 - wyłączyłem wiertarkę i poszedłem wyłączyć inne maszyny. Wyłączałem kolejne wiertarki i frezarki. Na hali, gdzie pracowało kilkadziesiąt maszyn, dało się wreszcie usłyszeć zmniejszanie hałasu. Coraz więcej maszyn przestawało pracować, aż zaległa pełna napięcia cisza. Na hali momentalnie pojawił się kierownik Zdzisław Nowak i dyrektorzy, w tym główny - Bolesław Porzycki. Zaczęli pytać ludzi, dlaczego przegrali pracę. Wokół gromadzili się robotnicy, więc kierownictwo zaproponowało, abyśmy spotkali się na jadalni.

Przyszli tam ludzie z produkcji, montażu oraz z biurowca - razem było około 400 osób. Dyrektor zapytał o co nam chodzi, dlaczego nie pracujemy. Wszyscy milczeli. Zabranie głosu mogło być uznane za przywództwo w strajku, a to groziło zwolnieniem z wilczym biletem. Po chwili zdecydowałem się zabrać głos. Wstałem i mówiłem: o buncie robotników na Wybrzeżu, o wyzysku, o powszechnym braku towarów. Miałem dużo wiadomości z Wolnej Europy. Nie pamiętam, co dokładnie mówiłem. Trwało to chyba z 10 minut. W ostatnim zdaniu załamał mi się głos i usiadłem. Ludzie wtedy wstali i zaczęli mi bić brawo. Potem zaczęli też występować inni. Mówili o brakach w zaopatrzeniu, niskich zarobkach, o różnych mankamentach w zakładzie. W czasie tych wystąpień wpadł na jadalnię pierwszy sekretarz partii - Tadeusz Ziarkowski, który w chwili wybuchu strajku był nieobecny w zakła-

dzie. Na koniec dyrektor zaproponował wytypowanie delegacji w celu zredagowania postulatów i prowadzenia rozmów z dyrekcją. Zgłaszano różne nazwiska. Ktoś zaproponował chłopaka, który pierwszy przemówił. Zebrani głośno poparli moją osobę. Okazało się, że nie jestem znany z nazwiska i nie wiadomo nawet, jak mnie zgłosić do delegacji. Oprócz mnie w wybranej wówczas reprezentacji robotników znaleźli się m.in. wspomniani wcześniej Stanisław Sordyl i Józef Szczur.

W przerwie, w czasie której przygotowywaliśmy się na rozmowy, zostałem poufnie poinformowany, że z chwilą rozpoczęcia strajku dyrektor poinformował o nim gdzie trzeba i zakład został odcięty od sieci telefonicznej, poza jednym telefonem - dyrektorskim. Zebraliśmy postulaty od załogi i udaliśmy się na rozmowy z dyrekcją, które odbyły się w sali narad u głównego dyrektora. Oprócz dyrektorów, Porzyckiego, Gałuszki i Siwka, obecny był szef produkcji Kazimierz Tomiak, zakładowy sekretarz PZPR Tadeusz Ziarkowski oraz przewodniczący ówczesnego związku zawodowego, Talar - starszy, grzeczny pan. Na początku ja zażądałem połączenia ze stocznia w Gdańsku i przywrócenia łączności telefonicznej. Dyrektor odpowiedział, że to jest poza jego kompetencjami i on tu nie jest w stanie nic zrobić. Nie chciałem się godzić na rozmowy bez spełnienia tego żądania, ale pozostała część delegacji była bardzo wystraszona i w końcu odstąpił od tego żądania. Zaproponowałem również przyjęcie 21 gdańskich postulatów jako nasze własne. Początkowo delegacja popierała ten pomysł, ale dyrektor przekonywał, że one są poza jego kompetencjami. Ustaliliśmy tylko zapis, że załoga AFM-u popiera 21 postulatów, wysuniętych przez strajkujące zakłady na Wybrzeżu. Skupiliśmy się na postulatach dotyczących problemów zakładowych. Spisano postulaty do realizacji. Dotyczyły one głównie spraw organizacyjnych, jak np. korekty norm czasowych produkowanych detali oraz wypłaty jednorazowej kwoty premii, zwanej później wałęsówką.

Wkrótce nadszedł czas przyjścia drugiej zmiany. Wskutek presji dyrekcji i strachu delegacji uzgodniliśmy, że postój drugiej zmiany jest zbędny, bo postulaty są przyjęte. Druga zmiana jednak nie podjęła pracy, bo nie chciała być gorsza od zmiany pierwszej. Odbył się wiec załogi. Ustalili, że będą stać tyle samo czasu, co pierwsza zmiana. Delegacja udała się na dalsze rozmowy, które trwały gdzieś do godziny 20.00.

Słyszałem od mojego brata Arka, który pracował w andrychowskiej Wytwórni Silników Wysokoprężnych Andoria, że tam też były jakieś małe strajki na niektórych wydziałach oraz że głównym organizatorem ich jest Lech Kasperk. Wzajemnie nie rozmawialiśmy w piątek, 29 sierpnia, udałem się z bratem do mieszkania Kasperka. Tam poznaliśmy się, wymieniliśmy informacjami oraz ustaliliśmy sposób kontaktowania się w przyszłości. W pierwszym tygodniu po podpisaniu porozumienia w Gdańsku, wraz ze Stanisławem Sordylem, udaliśmy się na spotkanie do klubu Andorii, gdzie nawiązaliśmy bliższy kontakt z pracownikami tego zakładu. Potem spotykaliśmy się w mieszkaniu Bronisława Skowrona z Andorii. Byli tam również przedstawiciele innych zakładów. Początkiem września delegacja zakładów Andrychowa udała się pociągiem do Gdańska. Wśród nich byłem i ja. Tam spotkaliśmy się krótko z Wałęsą i z innymi ludźmi znanymi mi z audycji Radia Wolna Europa. Siedzibę urządzono w jakimś hotelu. Było tam dużo delegacji z całej Polski oraz masa dziennikarzy i telewizyj z krajów zachodnich, Japonii i Stanów Zjednoczonych. Otrzymaliśmy statut Samorządnych i Niezależnych Związków Zawodowych (jeszcze wtedy nie było nazwy „Solidarność”) oraz inne materiały i instrukcje tworzenia nowych związków zawodowych. Zarejestrowano nasz przyjazd i zapisano, jakie reprezentujemy zakłady. Dopiero 17 września na pierwszym organizacyjnym spotkaniu w Gdańsku, na którym był Stanisław Sordyl, ustalono, że powstanie jeden ogólnopolski związek i przyjęto jego nazwę: „Solidarność”.

W tym czasie w zakładach powstawały komitety założycielskie, a później tymczasowe komisje zakładowe NSZZ „Solidarność”. Spotykaliśmy się najczęściej w andrychowskim Klubie „Pod Basztą”. Powoli w zakładach przeprowadzane były wybory do „Solidarności”. W AFM-ie przewodniczącym Komisji Zakładowej został wybrany Stanisław Sordyl, a jego zastępcą Tadeusz Dyrz. Funkcję sekretarza pełniła Danuta Babińska, a członkami byli Józef Szczur, Władysława Kołodziejczyk, Kazimiera Szczur, Teresa Węglarz, Stanisław Stopa, Konstanty Kolber, Stanisław Zacny i ja.

Od redakcji: powyższe relacje zostały zebrane przez bielski Punkt Konsultacyjny Instytutu Pamięci Narodowej w ramach realizacji projektu badawczego „Solidarność 1980-1989”.